

STANISŁAW MATEJKO

Plut. Stanisław Matejko, s. Wincentego i Elżbiety, ur. 24 grudnia 1896 r. w Wiłkomierzu, rzymski katolik, żonaty, Polak, wykształcenie pięć klas gimnazjum, zam. w Wilnie.

16 czerwca 1941 r. zostałem aresztowany przez NKWD i tego dnia wraz z całą rodziną, tj. z żoną, dwiema córeczkami (jedna lat 11, druga 10) i synem (lat 7), zostałem załadowany na ciężarówkę i zawieźli nas na stację, gdzie nas rozłączono. Mnie wsadzili do osobnego wagonu, a żonę z dziećmi do drugiego. Przed wywiezieniem nie dano nam nic zabrać ze sobą, nic z ubrania ani też z bielizny. Po rozłączeniu nas nic o żonie i o dzieciach nie wiedziałem, gdzie oni byli, co robili i jak żyli. Teraz dowiedziałem się, że żona moja znajduje się w Afryce wraz z dziećmi, lecz od niej żadnej wiadomości nie miałem.

W wagonie było bardzo ciasno, bo przeszło 60 ludzi, tak że nie można było usiąść, a co do leżenia, to nie było nawet o czym marzyć. Tak jechaliśmy sześć dni i nocy bez ustanku. W wagonie był zaduch i z powodu braku powietrza stłoczeni ludzie wręcz mdleli z gorąca. Oprócz tego nie dawano nam wody do picia, a gdy pukaliśmy do drzwi i prosiliśmy o trochę wody, to konwój groził, że nas powystrzelają i że *nie podochniem* i dalej szła ruska przysłówkowa klątwa. W wagonie była co [nieczytelne] prawie cała inteligencja polska i litewska, m.in. i litewski minister spraw zagranicznych, który to podpisywał z bolszewikami układ pomiędzy rządem Litwy a ZSRR na konto Wilna.

Po sześciu dniach załadowano nas na okręt. Co na okręcie przeżyłem, to nie daj, panie Boże, drugi raz to przeżywać. Prawie nie było powietrza, bo byliśmy na samym dole okrętu, bez żadnego światła, a do tego tak ciasno, że człowiek ze zmęczenia musiał leżeć jeden na drugim. Do tego było takie mnóstwo brudu, że wszy formalnie wzięły nas wszystkich w swoje niepodzielne władanie. Jeść dawali nam bardzo wyśmienicie: jednego śledzia solonego na cały dzień i jeden suchar wagi 50 g. O wodzie nie było mowy. Choć przez wodę jechaliśmy, lecz do

picia nie dano nam nic. Ludzie mdleli, krzyczeli i prosili – nic nie pomagało, lecz grożono, że nas potopią. Po zjedzeniu śledzi i suszonej ryby, również solonej, zapanowała dyzenteria. Do ustępu nie wypuszczano, tak że wielu musiało załatwiać się na miejscu. Jak my wytrzymaliśmy tę jazdę, to nie wiem sam, to było gorzej jak w piekle.

Po przywiezieniu do łagru (a jechaliśmy przez Jezioro Onieżskie) sfotografowano nas jako skazańców politycznych (ja byłem funkcjonariuszem Policji Państwowej). Jak nazywał się ten łagier, tego nie wiem. Po przebyciu dziesięciu dni w łagrze z powrotem załadowano nas na statek i to samo było co i w poprzednim statku, a wieźli nas już z powrotem. Po wysadzeniu na brzeg gnali nas pieszo od Jeziora Onieżskiego pod sam Archangielsk i z 570 ludzi na miejsce przybyło 400, zaś 170 padło w drodze z powodu głodu i wycieńczenia. Dawali nam po 2 małe rybki suszone i do tego solone lub po 2 śledzie i po 400 g chleba dziennie. Co do wody – również nie było, a szliśmy marszem forsownym. Po drodze ludzie ze zmęczenia i z głodu padali, a konwój bolszewicki bił kolbami, jak również szczuli psami, tak iż psy niejednego pogryzły. Co zrobili z tymi ludźmi, co nie mogli iść, to nikt nie wie i nie dowiedział się, co z nimi się stało. Wielu już nie było i nie doszło [do] miejsca przeznaczenia, a byli słabsi. A mianowicie 170 km szliśmy przez całe 4 tygodnie, po drodze z braku sił porzucali ludzie ubrania, bieliznę, futra, obuwie, walizki, a nawet niektórzy i żywność. Z powodu braku wody do picia i słabości zapanowała dyzenteria. Ludzie mieli pokaleczone i popuchnięte nogi, niektórzy byli formalnie goli i bosi. Po drodze konwój znęcał się nad nami w sposób nieludzki: *łożys i podymajs, jobanyj koniom*, a który nie mógł wstać, bito kolbami i szczuto psem, który gryzł ludzi.

Do obozu Plisieckaja [Plesieck], OŁP IV przybyliśmy [niczym] półtrupcy, a nie ludzie. W obozie dawano nam już samą wodę z rana i na wieczór i 400 g chleba, a pracować musiano w święto i nie święto, w mróz i błoto, i deszcz, od świtu do świtu, bez przerwy, chory i zdrow. Mówiono nam, że *tu podochniesz, a swoju Polszu nie uwidisz*. Byliśmy głodni, goli i bosi, a spaliśmy na pryczach i pod pryczami, bo dla nas, świeżo przybyłych, nie było żadnego miejsca do spania. Ludzie chorowali masowo i masowo umierali z głodu, zimna i z chorób, bo jak był w mokrym ubraniu, tak spał gorzej niż pies bezpański. Tak wstawał, szedł do pracy, a praca była ponad siły ludzkie. Mróz już był dość duży, błoto po pas, a [ludzi] wyganiano gołych i bosych do tundry, gdzie rąbano las [sic!]. A co bolszewicy od nas nie mogli wypić krwi, to robiły [to] za nich ich sprzymierzeńcy – komary i małe meszki. Ludzie nasi nie mogli dalej wytrzymać i niejednen z rozpaczry rzucił się pod pociąg i zakończył swoje życie. Ja sam to chciałem uczynić, lecz zostałem żywy dzięki jednemu z naszych majorów, p. S..., który – będąc sam

chory i w gorszych warunkach, bo był w brygadzie karnej jako oficer polski – był gorzej traktowany, on to podtrzymywał u nas, Polaków, ducha.

W tym obozie przebywali ludzie wszystkich narodowości, jak: Polacy, Litwini, Łotysze, Finowie, Estowie [Estończycy], Ukraińcy itp.

Po zawarciu układu pomiędzy rządem polskim a ZSRR 24 września 1941 r. zostałem zwolniony z obozu i jechałem do armii polskiej, lecz w Kujbyszowie [Kujbyszewie] nas oszukano: zebrali ok. 600 osób i wywieźli do kołchozów za Morze Uralskie [Jezioro Aralskie]. W kołchozie dostawałem sto gramów mąki dziennie przez trzy miesiące, tak że ze mnie był już trup, a nie człowiek. Gryzły nas wszy, głód i zimno, byliśmy stłoczeni w małej kibitce po 16 osób.

Lecz wszystko wytrzymaliśmy, z wiarą, że nie zginiemy marnie i doczekamy lepszych czasów. I doczekaliśmy, bo dzięki panu Bogu już jesteśmy wolni, mamy broń i swego wodza, który nas poprowadzi ku naszej ukochanej ojczyźnie, ku wielkiej i wolnej Polsce, bo już jestem żołnierzem, a niewielu spotkało to szczęście. Tak nam, panie Boże, dopomóż w naszej pracy, a dla naszego ukochanego wodza długie i szczęśliwe lata.

„To był istny, jedyny raj bolszewicki na ziemi”.